

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Fr. Rawita</i> : Śląsk austriacki. I. Przebudzenie się	673
<i>Juliusz Twardowski</i> : Wagner i Wagneryanizm	680
<i>X.</i> : Przeżyte — Odczute — Wydarzone	693
Kronika naukowa	704

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



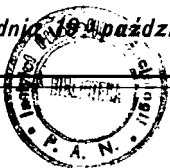
WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wilh. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyzanowskiego.

1895



→ Wiedeń, dnia 10 października 1895. ←



Śląsk austriacki.

I.

Przebudzenie się.

Dałem tytuł niewłaściwy tej idei, z którą pragnąlbym zapoznać czytelników „Przełomu“. Nie znaczy to bynajmniej, abym sądził, jakoby czytelnik, któremu kartki moje w ręce wpadną, dopiero odemnie dowiedzieć się mógł o tej pracy, jaką cicho, poważnie i spokojnie prowadzi społeczeństwo śląskie w celu wzmocnienia i uświadomienia siebie. Pragnę tylko nieuprzedzonemu czytelnikowi wskazać niejako mój punkt patrzenia.

Z podróży mojej na Śląsk, z pobytu zarówno wśród ludu, jak i wśród jego pracowników, wyniosłem to przekonanie, że Śląsk nie potrzebuje ani odradzać się, ani przebudzać się, gdyż przez cały długi sześciowiekowy okres obcych rządów, iskra życia narodowego nie wygasła w nim nigdy. Z braku państwowej podstawy do życia nie miało ono możności rozwinięcia się i wydania tych owoców, jakie praca myśli i ducha ludzkiego wydaje. Porównaiby je można do siły żywotnej, spoczywającej niewidzialnie w najdrobniejszym ziarnku; ona nie potrzebuje odradzać się, bo żyje, potrzebuje tylko odpowiednich warunków, aby żywotność swoją objawić.

Ze Śląskiem działo się wprawdzie inaczej — o tyle inaczej, że kielki życia narodowego trzymały się przy ziemi, a te jednostki, które miały siłę rozwinąć się i wzmocnić, pracowały — nie dla swoich. W losie ich, w ich życiu i pracy tkwiły można powiedzieć pierwiastki tragiczne: porównałbym tych wszystkich, którzy dziś jeszcze noszą polskie nazwiska do sokołów, oślepionych ręką sokolnika na to, ażeby wzrok straciwszy, z niepojętą i wściekłą zapamiętałością rzucały się na własnych braci . . .

Nie nie pomogło: — ani napór urzędowej niemczyzny, ani szalone miotanie się renegatów, ani rzucanie się oślepionych sokołów na gniazdo ojczyście — idea narodowa na Śląsku żyje, a co ważniejsza, umrzeć nie może. Z tym faktem trzeba się pogodzić. Przytuliła się ona przy ziemi-matce, w zagrodzie chłopą polskiego, tu, dzięki jego ciepłu i pracy, wyrosła, nabrała siły i dziś zatknęła zwycięski sztandar nad piastowską strzechą. Te same ręce chłopskie, które budowały Polskę, dziś zakładają nowe zręby i podwaliny pod stary gmach.

Nie chcę badać ani genetycznie, ani historycznie postępu tej idei na Śląsku, której nadałem miano przebudzenia się. Ja stoję na gruncie chwili dzisiejszej — chwili, w której ta idea żyje, rozwija się i potężnieje co dnia niemal — nie w imię jakiejś agitacyi, uporu narodowego lub złudzenia, lecz w imię praw przynależnych — każdemu dojrzałemu do życia społeczeństwu.

Tak więc stoimy wobec zjawiska dziejowego, nawskróś nowożytnego, ale bynajmniej nie odosobnionego. Zrozumieć tego nie chce tylko garstka urzędników niemieckich, kupka mieszczaństwa napływowego, której się zdaje, że prowadząc agitację przeciwko narodowości polskiej na Śląsku, broni jakiegos cywilizacyjnego posterunku i — smutno powiedzieć — renegaci polscy. Duchowe ich powinowactwo na całym świecie jednakże ma podstawy moralne; czy noszą oni przeto tytuł „baszy tureckiego“ u Bułgarów i Serbów, czy wysokiego „czynownika“ w Rosyi u Polaków, czy wreszcie „szczerego Rusina“ — wyzrękającego się jednak języka swego na korzyść „braterskiej“ Moskwy, oplacającej braterstwo rublami — wszędzie i zawsze

stają oni po stronie tego porządku, który im ułatwia wygodną egzystencję materyalną.

Owem zjawiskiem dziejowem jest rozbudzone poczucie narodowościowe tam nawet, gdzie je uważano za wygasłe, lub gdzie rozbudzenia się jego nie przewidywano. Jest ono jedną z największych i najpiękniejszych zdobyczy XIX. wieku. Można by je uważać za wykwit indywidualizmu, który jest tem dla jednostki, czem świadoma idea odrębności, rozsnuta na tle prawno-państwowem, dla nowożytnego pojęcia narodowości.

Już począwszy od wielkiej rewolucyi podstawa i istnienie nowożytnego państwa stale się zmienia, a jedną z najwybitniejszych zmian jest powolne odnawianie się maszyny administracyjnej w najobszerniejszem znaczeniu. Władza od jednej warstwy przechodzi powoli do wszystkich, składających te lub owe społeczeństwa. W jednym miejscu zwyciężył dawno prąd demokratyczny, w innym żywioł konserwatywny trzyma się jeszcze u góry, a fala nowego życia rozbija samą siłą ewolucyi starą rudere europejskiego ustroju państwowego.

Nikt tych prądów nie wywoływał, one przyszły same, jako rezultat sił, pracujących w pewnem społeczeństwie lub narodzie, jako akt sprawiedliwości państwowej. Uderzał on w życie tak samo, jak fala uderza o brzegi morza z większą lub mniejszą siłą, jak płynie woda w korycie rzeki. Zasługa ludzi jest tylko w tem, że potrafili ująć te prądy i zużytkować na pożytek powszechny.

Skutkiem tego nastąpiło tak zwane „odrodzenie się“ Włoch, Grecyi, Bułgaryi, Serbii, rozpoczął się w tym samym kierunku ruch narodowościowy wśród Słowian, budzi się do życia samodzielne Armenia, a nawet Prusacy — nie Bismarkowscy wprawdzie — wołają o prawa do życia, języka, literatury. Tkwi w tem zjawisku myśl prosta, jasna i logiczna: jak człowiek, kiedy wyrosnie i dojrzeje, szuka warunków samodzielnego życia — tak samo czyni naród, tak nawet odrębne społeczeństwo, rzucone nieraz jak statek wśród obcego żywiołu i narażone ustawicznie na utratę życia.

Politycy — szczególnie rosyjscy — używali bardzo zrećźnie idei narodowościowej za sztandar agitacyjny, ludząc

narody, pozbawione samodzielności, a pragnące jej, jak fatamorgana nieobytých żeglarzy. Wyzyskiwali oni i wyzyskują tą ideę dla własnych celów państwowych, pracując w ten sposób nieświadomie, lecz w imię konieczności dziejowej nad rozbiciem własnego potężnego ogromem państwa, zlepionego nie siłą prawa, lecz nadużyciem prawa.

Śląsk wystąpił na arenę życia narodowego tylko pod wpływem rozbudzonej świadomości. Na szczęście nikt tu nie agitował (w dzisiejszem pojęciu), nikt nie bałamucił niedojrzalemi hasłami skupionego w pracy społeczeństwa — obyż ono i nadal zdrowym swoim rozumem potrafiło usunąć od siebie nieproszonych pomocników, nieproszonych gości, narzucających się przyjaciół, roznosicieli światła, które kopci i śwędzi, siewaczy wielkich myśli, którzy ciągle mówią ludziom o chlebie, a karmią trucizną — niezgody wewnętrznej.

Zaznaczyłem powyżej zupełnie nowożytnie zjawisko dziejowe dojrzewania i uświadamiania się narodowego i wskazałem ogólne niejako przyczyny tego zjawiska. W każdym jednak takim społeczeństwie działają także przyczyny miejscowe, które zbliżają lub oddalają urzeczywistnienie się pewnego faktu dziejowego.

Jakież mogły być przyczyny uświadomienia narodowego na Śląsku, które wywołały poczucie łączności szczepowej i narodowej w tej części dawnej Polski, która — jak się wszystkim zdawało — padła łupem polityki krzyżackiej?

Na pierwszy plan wysuwają się dwa czynniki doniosłego znaczenia: brak szlachty i religia.

Zastanówmy się nad niemi chwilę. Brak szlachty, czyli jeżeli się to komu lepiej podoba, właścicieli wielkiej własności ziemskiej, jest zjawiskiem bardzo charakterystycznym na Śląsku austriackim. Gineła ona powoli — polską własność ziemską drogą nie walki, lecz kupna zagarniali Niemcy, ażeby z kolei ustąpić miejsca chłopowi polskiemu. Mniejsza z tem, jaką drogą ewolucya ta odbywała się; dość, że się odbyła. W obecnej chwili można powiedzieć, iż jest tylko tylu wielkich właścicieli ziemskich: tak zwane Kamera Arcyksiążęca (dobra lenne dawnej Rzeczypospolitej), obejmujące 13 mil □, baron Larisch

posiada 7 mil □, a książę Sułkowski (Niemiec à la Bukowski) około 3 mil □. Średniej własności szlacheckiej prawie niema, a ci co są, bankrutują do reszty i wyprzedają się. Kilku za ledwie z pośród nich nosi polskie nazwiska, nie dające się zniemczyć, jakby na świadectwo, że można zaprzeć się własnego języka i narodowości, ale niepodobna ich zniszczyć.

Na miejsce zanikającej doszczętnie szlachty, wysunęła się przodem średnia własność ziemską chłopską, wydzielona z wielkiej, lub powstała przez komasację. Nie rzadko też można tu znaleźć osadę chłopską od 30—100 i więcej morgów obejmującą, a obok zwykłą własność drobną — nie tak jednak rozdrobnioną jak u nas.

Nie myślę bynajmniej zwalczać cywilizacyjnego stanowiska szlachty wogóle. Nie stworzyła ona wprawdzie państwa nigdzie, ale powoli kierownictwo sprawami państwowymi w swoje ręce ujęła, zdobyła władzę, a działając na korzyść państwa i swoją — na niekorzyść innych warstw ludności działała. To nie są cechy właściwe naszej tylko szlachcie, lecz wspólne szlachcie całej Europy, a nawet, śmiem powiedzieć, całego świata, bez względu na to, jak się ta warstwa, dzierżąca władzę, nazywała. Ona stawała wprawdzie w stronie idei państwowej, ale tej idei podporządkowywała inne warstwy i siłę ich zużytkowała dla niej; ona pierwsza sformułowała pojęcie narodowości i w imię wolności państwowej, rozumianej stosownie do epoki dziejowej, występowała w obronie praw narodowych do życia samodzielnego. Gdzie tych praw uznać nie chciano, tam prześladowano ją lub gnębiono — jak w Rosyi i w Prusiech. Mniej odporni lub silni stawali się obojętnymi, lub jawnie przechodzili do obozu nieprzyjaciół, jako zwyciężeni. Niewola demoralizuje i upadła — tego chyba dowodzić nie potrzeba.

Te same prawa społeczne, te same przyczyny w większym lub mniejszym stopniu działały także na wynarodowienie się szlachty śląskiej. Nazwałbym je przyczynami natury politycznej. Były jednak inne jeszcze — ekonomiczne, nad analizą których wcale zastanawiać się nie będę. Wszystko to razem wzięte miało ten ostateczny wynik, że ziemię trzeba było z rąk

wypuścić. Sąsiedzi przychodzili do posiadania jej, a na szczęście sąsiadami byli chłopci polscy. Oni przeto uratowali polską ziemię. Stało się to, co się stało w rodzinie: marnotrawca lub człowiek lekkomyślny musi po pewnym czasie ustąpić majątek pracowitszemu. Nikt nie przypuszczał wówczas, jaki silny związek istnieje między ziemią a tym, który ją kocha i orze.

Gdy zabrakło szlachty, zabrakło wprawdzie obrońców narodowości i praw, ale została ziemia polska i chłopci polscy. Tam gdzie niema wodza, wojsko rozbiega się do domu i czeka, póki je ktoś zwoła. Wodzem była szlachta. Nie stało jej i nie było komu rozprószonego zwołać. W tej pozoranej cichości dojrzała nowa warstwa do życia politycznego i narodowego i wzięła kierownictwo w swoje ręce — bez agitacji, bez nawoływań, bez śladu nienawiści do Niemców. Żał tylko można mieć do nich, że tego ruchu nie rozumieją i wartki strumień życia starają się wstecz nawrócić — gwałtem.

Drugim czynnikiem, który przyczynił się do uświadomienia narodowego Śląska była, jak powiedziałem, religia — nie katolicka i nie ewangelicka, obie razem. Siłą działającą w tym kierunku nie był wcale ten lub ów dogmat religijny, ale język, którym się ksiądz posługiwał. Opowiadają, że jakiś podróżnik w Ameryce spotkał w ustronnem i bezludnem miejscu Polaka, który, acz otoczony obcym żywiołem, mówił jednak bardzo pięknie po polsku. Zapytany jakim cudem, nie słysząc przez kilkadziesiąt lat języka ojczystego, tak pięknie nim władał, człowiek ów pokazał jedyną książkę, którą z rozbicia życiowego uratował — była to Biblia. „Tę książkę czytam zawsze głośno“ — odpowiedział.

Słowa z Biblii powtarzał po polsku przez kilkaset lat zarówno ksiądz katolicki jak i ewangelicki. Oni — bez różnicy wyznania — a często nieświadomie, przechowali w sercu polskiego chłopca miłość dla ojczystego języka i dźwiękiem mowy, brzmiącej publicznie już tylko z kazalnicy, przypominali mu dawne, świetne dzieje i szacunek ku nim budzili. Chłop modlił się z polskiej książki, czytał *Żywoty świętych Skargi*, *Postyllę Mikołaja Reja*, nie wiedząc może nic o tem, że czyta największych naszych pisarzy, że mimowoli uczy się

mówić i myśleć w najpiękniejszej polszczyźnie. To go uratowało. To nadało jego polszczyźnie, tu i ówdzie skażonej germanizmami cechy oryginalne, archaiczne, a mowa polskiego chłopca na Śląsku dlatego może po dziś dzień zwrotami swemi przenosi nas żywo w najpełniejszy okres naszego życia politycznego i umysłowego.

Tak więc w pracy dziejowej narodu lub odłamu jego, chociażby ona długi czas nie była dostrzeżoną przez nikogo, czynniki ujemne i dodatnie schodzą się razem i wspólnie wytwarzają nowe prądy życia.

Fr. Rawita.



Wagner i Wagneryanizm.

[R. Wagner: *Gesammelte Schriften und Dichtungen* (10 tomów) Leipzig 1871—83; 2. wyd. tamże 1888. — Glase napp: *Richard Wagner's Leben und Wirken* (2 tomy) Kassel 1876—77. — Ferd. Präger: *Wagner, wie ich ihn kannte*, Leipzig 1893. — Henry T. Fink: *Wagner und seine Werke*. New-York. — Friedrich Nietzsche: *Der Fall Wagner, ein Musikanten-Problem*. Leipzig. 2. wyd. 1894.]

Co jest nowego w Wagnerze? Daremnie szukam u Wagnera celu, do któregoby nikt przed nim nie był dążył. Nowem u Wagnera są tylko środki, którymi usiłowania Glucka starał się urzeczywistnić. Wagner z wielką pewnością siebie postawił w teorii system swojej sztuki, jako „sztuki przyszłości“ i w swoich utworach system ten w czyn przeprowadzał. Dążył do tego, aby w „dramacie muzycznym“ taki zachodził stosunek między muzyką a tekstem, jak w dramacie greckim; Wagner doprowadził w muzyce reakcyjny ruch, rozpoczęty 100 lat pierwej przez Glucka, do skutku.

W połowie XVIII. wieku brak gustu u kompozytorów włoskich doszedł był do szczytu. Koloratura była nieograniczoną królową w ich operach, wszystko jej było poddanem, wszystko od niej zależnem, tekst, melodia, cała opera; o związku między tekstem a melodią mowy nie było; wiersze bez sensu po kilka razy bez sensu bywały powtarzane, aby tylko artyści mogli się popisywać trylami i kadencjami bez końca. Tekst był tylko pretekstem dla muzyki, muzyka narzędziem dla próżności śpiewaków i śpiewaczek, a kompozytor był tylko tychże czeladnikiem. Oburzony takim stanem rzeczy porzucił Gluck tory opery włoskiej i streścił cel swoich własnych starań w przedmowie do opery „Alceste“ (1767). Twierdzi, że w dramacie muzycznym muzyka ma się do poematu, jak w obrazie koloryt do rysunku; przyznaje się do tego, że zasiadając do pracy, usiłuje zapomnąć, że jest muzykiem; mówi, że dąży do „szlachetnej prostoty“. Są to te same słowa, któremi Lessing zgodnie z Winckelmannem charakteryzuje sztukę starożytną i właśnie te słowa tłumaczą nastrój klasyczny później-

szych utworów Glucka. Rozumie się, że przedmioty jego oper wzięte z dziejów greckich, bardzo się do tej ich właściwości przyczyniają; ale czy nie potrzeba było odwagi by szukać, a sztuki, by znaleźć odpowiedni sposób scharakteryzowania za pomocą muzyki bohaterów trojańskich, królów, kapłanów, kobiety starodawnej Grecyi? Edward Hanslick porównuje operę współczesną z obrazem malowanym w jaskrawych barwach, a operę Gluckowską z greckim posągami marmurowym. Oto ta „szlachetna prostota“. Nic łatwiejszego, jak wykazać równość tendencji Glucka i Wagnera, wspólność ich starań i przedstawić ich jako dwóch mężów stojących na czele reakcyi przeciw temu, w czem obaj zgodnie upatrywali upadek sztuki.

Wagner chciał stworzyć „sztukę przyszłości“, polegającą na połączeniu wszech sztuk. Po upadku sztuki starożytnej każda ze sztuk, wchodzących w skład tragedyi, osobno się rozwijała i tak z czasem wytworzył się dramat, opera, feerya, balet. Wagner dążył do połączenia wszystkich tych czynników i uważał za ideał dzieła sztuki „dramat muzyczny“. Każda sztuka powinna zrzec się po części swej samodzielności i przewagi nad innymi, a wszystkie razem powinny się przyczynić do tego, by wrażenie przedstawionych na scenie wypadków spotęgować. Istny program koalicyjny. Poezya, muzyka, malarstwo, architektura, mimika tworzą, w harmoniczną zlane całość, sztukę przyszłości.

W pierwszych latach młodości Wagner marzył o laurach poety; nauka teoryi muzyki pierwotnie mniej go zajmowała, aż „Wolny strzelec“ Webera i symfonia Beethovena skłoniły młodzieńca do tego, by gorliwiej się oddawał muzyce. Może już wtedy rozmyślał o wartości i znaczeniu poezyi i muzyki, o wzajemnym ich stosunku, o połączeniu ich w dramacie (liryczne ich połączenie, pieśń, najstarszym może jest objawem muzycznym duszy ludzkiej). Później, kilkakrotnie zmuszony bawić poza ziemią ojczystą, zaczął w teoryi idealizować swoje starania, formułować swoje zapatrywania, wytykać cel i tłumaczyć pobudki swej twórczości. Ta spowiedź umotywowana umieszczoną została w dziełach „Das Kunstwerk der Zukunft“, „Oper und Drama“ etc. W tych książkach Wagner usiłuje uzasadnić swoje zamiary artystyczne. Takim więc sposobem powstała sztuka „przyszłości“, dramat muzyczny; jest on owocem doktrynerskiego badania, wynikiem refleksyi.

Wagner jest nie tylko reformatorem względem środków, za pomocą których usiłował urzeczywistnić znane zresztą poglądy na sztukę. Jest i czemś więcej: jest apostołem sztuki narodowej. Wagner nadał utworom swoim cechę narodową. W stworzeniu sztuki niemieckiej upatrywał swoje powołanie, które ku czci i chwale narodu starał się wszystkimi siłami spełnić.

Treść prawie wszystkich utworów W a g n e r a stanowią podania germańskie. Nic zatem dziwnego, że za granicami Niemiec po długim dopiero czasie doczekały się uznania. Hasło sztuki międzynarodowej przez długie czasy źle rozumiano. Sztuki nie powinno się nadużywać w celu agitacji politycznej, a niechęci narodowe przeniesione na pole sztuki świadczą o dziwnym pomieszaniu pojęć. Ale każda sztuka jako objaw duszy ludzkiej ma tak samo cechę narodową, jak i mowa, i tylko tyle można powiedzieć, że środki, za pomocą których sztuka do ludzi przemawia, są wszystkim narodom zarówno zrozumiałe; można też poszczególne w sztuce kierunki, polegające na różnicach szczepowych, uważać za narzecza jednego wielkiego języka, zrozumiałego na całym świecie. Sztuka jest w duchu narodową, w udzielaniu się powinna być międzynarodową. Sztuka W a g n e r a przemawia do nas po niemiecku, jest pod każdym względem narodową, a jestto niemczyzna ostentacyjna, prawie demonstracyjna, i nietylko szowinizm francuski, ale i szowinizm samej sztuki W a g n e r o w s k i e j utrudnił jej wstęp do Francji. A przecież twórca sztuki tak specjalnie niemieckiej chciał ją wypróbować na scenie opery paryskiej. I w tym względzie poszedł za przykładem G l u c k a, dla którego szansy wtedy o tyle były lepszymi, że przed nim L u l l y podobne był uczynił starania co do kierunku opery francuskiej.

Czyż więc przed Wagnerem nie było sztuki narodowej? I owszem, każda sztuka zawsze była narodową, ale „naturaliter“ narodową; W a g n e r pierwszy starał się świadomie nadać jej cechy narodowe. Przed nim dzieła sztuki p o w s t a w a ł y jako narodowe; W a g n e r je czynił narodowemi. W tym kierunku stał się reformatorem.

Przypatrzmy się jego muzyce. Trzeba wtedy koniecznie podzielić twórczość W a g n e r a na dwie fazy, przed r. 1858 i po tym roku. Każdy wie, że muzyka „Lohengrina“ inaczej brzmi, niż w tetralogii „Der Ring des Nibelungen“. Pierwszym utworem, w którym W a g n e r stoi na własnych nogach, jest uwertura „Faust“. Opery — jeszcze we właściwym słowa znaczeniu — należące do pierwszej fazy, pisane w formie mniej więcej tradycyjnej; panuje w nich jeszcze formalizm sztuki, do którego się przyznawali mistrze opery przed-Wagnerowskiej. Utwory począwszy od „Tristan und Isolde“ już nie są operami, lecz „dramatami muzycznymi“; panuje w nich s z e m a t y z m s z t u c z n y wynalazku W a g n e r a.

W czym tenże się różni od dawniejszej formy? Wszystkie czynniki, którymi rozporządzają poszczególne sztuki, wedle zasad W a g n e r a mają służyć akcji scenicznej. Dlatego formy muzyczne,

przedstawiające całość w sobie zamkniętą (arya, duet, chór etc.) zostały zaniechane, a całe przedstawienie przemienione w ciągłą deklamacyjną, urozmaiconą grą orkiestry. Z tego wynika dwojaka rzecz: że śpiew musi się obracać w formach recytatywu¹⁾ i że gra orkiestry musi być nieustannie w ścisłym związku z akcją. Punktem środkowym, osią, naokoło której wszystko się obraca, jest każdorazowa sytuacja sceniczna. Sytuacja ta jest ujęta w kontury recytatywu, a kolorytu jej nadaje orkiestra. Muzyka Wagnera jest zatem odzwierciedleniem tego, co się dzieje na scenie, jest obrazem akustycznym sytuacji, którą na scenie widzimy.

Właściwa muzyka, ze sceny usunięta — albowiem recytatywu tylko niewłaściwym czynnikiem w muzyce — w orkiestrze znalazła szerokie wprawdzie pole działania, ale zawsze w służbie sytuacji scenicznej. Dlatego też melodia tylko tam daje się słyszeć, gdzie sytuacja na to pozwala. W związku ze słumieniem melodii stoi olbrzymi rozwój czynnika harmonicznego²⁾ i w samej rzeczy Wagner stworzył nowe modulacje, nowe zwroty, antycypacje i retardacje pojedynczych tonów i nadzwyczajnie wzbogacił sztukę harmonizacji. Równą różnorodność znajdujemy w rytmie jego muzyki. I rzecz jasna; jeżeli niema śpiewu (w tradycyjnym znaczeniu), orkiestra biorąc na siebie całą część muzyczną, tylko na tem skorzystać może. To też Wagner był twórcą nowej orkiestry. Posługiwał się niepospolitymi środkami; dla jego zadziwiającej zdolności w używaniu instrumentów orkiestra taka, jaką zastał, nie wystarczała. Każdy instrument dęty został potrójnie albo poczwórnice obsadzony i tym sposobem Wagner uzyskał nieznaną przedtem pełność i piękność tonów, która mu pozwalała wydobywać całkiem nowe efekta. Pierwszy Monteverde z gustem używał instrumenta w orkiestrze, Beethoven obdarzył instrumenta niejako mową, a Wagner pomnożył i usposobił je do efektów działających na zmysły. Jego sposób instrumentacji jest nowy, charakterystyczny i efektowny, czasem za ciężki. Ale sztuka instrumentacji i po Wagnerze już postąpiła dalej. Ryszard Strauss jest najlepszym dowodem, że przesłuchaną instrumentacją można publiczność tak olśnić, iż się nawet nie zastanawia nad brakiem wszelkiej myśli.

Bardzo ważnym środkiem dla cechowania sytuacji, oraz charakterystycznym objawem Wagneryanizmu wogóle, jest tak

¹⁾ Ten śpiew Wagnera nazwano „melodyą bez końca“, nadając mu miano sprzeczne w sobie, gdyż każda melodia ma początek i koniec.

²⁾ „Melodya treścią muzyki. Harmonia ma się do melodii, jak sos do pieczenia“. Schopenhauer.

zwany motyw przewodni¹⁾ (Leitmotiv). We wojsku nazywanoby go „Avertissement-Signal“. Tam trębacz albo tambor przy zjawieniu się wysokich dostojników odzywa się w pewien z góry przepisany sposób. Taksamo w dramatach Wagnerowskich Siegfried zostaje swoim sygnałem witany, inne osoby mają też swoją fanfarę, którą się, zjawiając się na scenie, legitymują. Taki motyw przewodni ma więc wedle intencji Wagnera dobitniej oznaczać sytuację, stworzyć związek między różnymi sytuacjami, ułatwiać ich przypomnienie i położyć nacisk na główne chwile w przebiegu całej akcji. Różnie się na ten pomysł zapatrywują. Rubinstein nazywa go dziecinstwem, współczesna opera francuska (Massenet) poszła za przykładem Wagnera.

Starając się zjednoczyć wszystkie sztuki w dramacie muzycznym poczuwał się Wagner do obowiązku dostarczania swym dramatom i tekstu własnego pomysłu. Zgodnie z wymienionymi dwiema fazami w twórczości muzycznej, tekst dawniejszych utworów przypomina jeszcze co do formy zwykle „libretto“; słowa do późniejszych dzieł przedstawiają nam się jako samodzielne utwory literackie, jako dramata, nie jako teksty operowe.

Sposób Wagnera wyrażania się nie jest ani niebywały, ani przyjemny. Słowa, budowa zdań, zwroty naśladują wzory średniowieczne i dawniejsze, odpowiednio do postaci, które takim językiem na scenie przemawiają. Wiersze dziwne, ponieważ sobie poeta niejedno pozwala; jeszcze dziwniejsze z powodu nadużywania aliteracji i wyrazów onomatopoetycznych.

Pomimo wszystkich tych środków poezja Wagnera dość ociężała i niezgrabna; tak n. p. tekst tetralogii „Der Ring des Nibelungen“ nawet dla Niemca bez komentarza nie jest zrozumiały. Łatwo poznać, że taką poezję bardzo trudno przetłumaczyć. Wiktor Wilder całe życie poświęcił tłumaczeniu dramatów Wagnera na język francuski. Pierwszym zadaniem zwolenników mistrza było pisanie tak zwanych „Thematische Leitfaden“, aby za ich pomocą nie bez pewnego natężenia umożliwić zrozumienie jego utworów.

I proza Wagnera ciężka; czytanie jej wiele wymaga cierpliwości. Pisma apostoła sztuki przyszłości noszą cechę apologetyczną i bronią teorii wszech-sztuki. Wagner z wielką pewnością, ale mniejszą jasnością pisze o upadku sztuki, o środkach, by ją podnieść i — wszystko stylem nie bardzo rozumiałym — wypowiada swoją ewangelję sztuki. (Ironia losu! Właśnie jemu za-

¹⁾ Wagner nie jest jego wynalazcą. Takie motywa znajdujemy już w śpiewach pasyjnych liturgii katolickiej. Wagner tę myśl tylko z takim zamiłowaniem zużytkował, że motyw przewodni u niego nie zawsze jest umotywowanym.

rzucając — n. p. Rubinstein — że się przyczynił do upadku muzyki.) Talent pisarski Wagnera był właściwie niebezpiecznym dla niego, ponieważ muzyk tylko wstępował w ślady literata, a sztuka książkowa wiele traci ze swej poezyi.

Wielkie wrażenie, jakie wywiera Wagner, tłumaczy się jego zdolnością do „mise en scène“. Był przedewszystkiem dramaturgiem. I nic dziwnego. Jako kapelmistrz wielkich teatrów był w ciągłej styczności ze sceną i nabył tym sposobem nadzwyczajną rutynę reżyserską. Cechą jego talentu siła dramatyczna; jej zawdzięcza przeważnie swoje powodzenie. Wielką jest zręczność, z jaką pomysły muzykalne w swych utworach rozmieszcza i z jaką korzysta z efektów scenicznych, potęgując je sztuczkami czerpanymi z poetyki, z orkiestracyi i z reżyseryi. Wagner pisał tylko dla sceny, a o wartości i działalności teatru miał wogóle przesadne zdanie. Utwory jego nie dla sceny przeznaczone ograniczają się do kilku uwertur okolicznościowych mniejszej wartości. Najwybitniejsze wady wielkiego mistrza tkwią w tem, że działa na nas zbyt wyrafinowanymi efektami. Należy tu wspomnieć o niewidzialnej orkiestrze, zaprowadzonej w Wagnerowskim teatrze w Baireuth. Nie jest ona zresztą pomysłem Wagnera, bo już dawno przed nim z takową dawano koncerta; a Ruskin (Essays on literature and letters) mówi: „All music should be heard in obscurity“. Muzyka Wagnera działa na nerwy, drażni albo usypia. Ciekawe pod tym względem eksperymenta robił Dr. Alfred Warthin, profesor uniwersytetu w Michigan, który we Wiedniu i w Monachium obserwował publiczność na przedstawieniach oper Wagnerowskich i badał wpływ tej muzyki na różne osoby. Twierdzi w „Medical News“: Muzyka Wagnera wprowadza osoby skłonne do tego w rodzaj stanu hipnotycznego, w którym puls się czasem przyspiesza aż do 120 uderzeń, a oddech do 30 razy w minucie.

Trudno obliczyć, czy i jaką szkodę narobił Wagner na polu samej muzyki; nie trudno udowodnić, że jego styl recytatywu bardzo się okazał szkodliwym dla głosu ludzkiego; i to nie dlatego tylko, że wieczna deklamacya męczy, jednostronne wyzyskiwanie kilku tonów, albo jednego rejestru głosu niszczy głos, lecz i dlatego, że Wagner nie uwzględnia podziału potrzebnego do oddychania. Że się głos śpiewaniem partyj Wagnerowskich nie polepsza, przyznał też dyrektor opery wiedeńskiej W. Jahn.

Zeszłego roku wyszła w druku książka Prägera: „Richard Wagner, wie ich ihn kannte“. Autor, umiarkowany zwolennik mistrza, w sposób całkiem bezstronny podaje swoje uwagi, wspomnienia i zdania, które nie zawsze pochlebne dla skromności Wagnera, rozgoryczyły Wagneryaninów fanatycznych. Szowiniści Wagneryanizmu uważają mistrza za Boga, albo nie

uznają, że miał wady, błędy, albo widzą w takowych zalety i rzucają się z dziką złością na każdego, który śmie powiedzieć, że Wagner też był sobie człowiekiem. Trafnie tego człowieka scharakteryzował Hanslick, mówiąc: Był on uosobieniem egoizmu, bezustannie czynny dla siebie samego, bez współczucia i bezwzględny dla innych. Dalej opowiada Hanslick w swoich pamiętnikach zgodnie z wszystkimi co Wagnera znali, że mówił ciągle, ale zawsze o sobie, o swoich dziełach i zamiarach; o innych kompozytorach wspominał tylko w tonie pogardliwym. Żądał bezwarunkowego poddania się pod swoją powagę, nietylko od jednostek, ale od całego narodu; naród jednak nie uznał w nim zaraz swego proroka, za co Wagner Niemców nazwał bezczelnym narodem. Ciekawe są niektóre uwagi mistrza o własnej osobie: „Sława moja zawsze wzrasta; uważają mnie za postać niesłychaną, piszą o mnie broszurki i rozprawy, uwielbienie i brak zrozumienia staczają ze sobą walki — a jak mi to wszystko obojętne!“ Ale krytyki nieprzychylnie bardzo go oburzały! Albo: „Nietylko, że mnie podziwiają, ale i kochają mnie; gdzie krytyka przestaje, tam się miłość zaczyna, a ona mi wiele serc zjednała“. Wdzięczności nie znał. W broszurce „Das Judenthum in der Musik“ w formie paszkwilu napadł na Meyerbeera i Mendelssohna, pomimo tego, że pierwszy go w Paryżu i w Berlinie materyalnie i protekcją wspierał, pomimo tego, że go w Paryżu żyd utrzymywał. Wogóle Wagner od wszystkich przyjaciół przyjmował ofiary i zapomogi bez najmniejszej wdzięczności; uważał takich dobrodziejów za wynagrodzonych przekonaniem, że im było wolno służyć sztuce narodowej, z którą się czuł identycznym. A jeżeli się przyznaje, że ktoś zrobił coś dla niego, to przecież tylko o sobie mówi. N. p.: „Trudno uwierzyć, z jaką miłością i z jakim zaufaniem ten człowiek (Liszt) do mnie przywiązany; a co dla niego może w moim charakterze niezrozumiałem, zwalcza swoją żywą sympatią“. Znane są drobne zachcianki Wagnera, jak n. p. mania do koloru różowego i do materyj jedwabnych i atlasowych. Wiadomo, że niektórych artystów różne wpływy zmysłowe zachęcają do pracy twórczej, czy to wonie czy kolory. Schiller przechowywał zgnile jabłka w swoim biurku, Mendelssohn miewał świeże kwiaty przed sobą, których zapach go w pracy podniecał, a Wagner wdziewał atlasowe ubranie. W stosunkach finansowych był mniej dokładnym; porobił długi na jedwabie indyjskie, które przyjaciele sztuki narodowej zapłacili. A co chwila wypożyczał sobie pieniądze, to od Liszta, to od Prägera, albo od innych, jak wogóle lubił żyć kosztem drugih.

Że Wagner nie był umysłowo normalnym, o tem świadczy jego mania wielkości i prześladowcza. Był nadzwyczaj nerwowym.

Catulle Mendès pisze, że go nigdy nie widział siedzącego, chyba przy jedzeniu albo przy fortepianie; wiecznie chodził, krzesłami przesuwał, szukał tabakierki albo okularów, miał swoją aksamitną czapczkę, dla niego tak charakterystyczną, jak „Reichsbund“ dla Bismarka. Gdy się znajdował w szczególnej emocyi, niewyraźne słowa pod nosem mrucał; dość, zawsze mówił, nigdy nie słuchał, wieczny niepokój. A sam się bardzo często skarżył na nerwy; nic dziwnego, gdy od 8. godziny rano do 3. popołudniu bez ustanku pracował. „Przez to wieczne poddawanie się namiętnym uczuciom, przez to, że żyję w dziedzinie fantazyi bez wystarczającego tła realnego, mój mózg tak rozstrojony, że mi teraz tylko w długich przestankach wolno pracować.“ Dziwny jest rozwój psychologiczny Wagnera. W młodości był romantykiem; wpływ Webera i opera romantyczna „Die Feen“ oznaczają ten kierunek. „Rienzi“ wskazuje już większe upodobanie w akcyi dramatycznej, a cała wielka faza twórczości, począwszy od „Tristan und Isolde“¹⁾ odslania nam mistyka. Wagner był entuzjazmowanym zwolennikiem Schopenhauera, pomimo że tenże był w sprawach muzycznych wręcz przeciwnego zdania i we wielu listach znaleźć możemy mistyczne ustępy. Mówi n. p. o „jedynie zbawczej negacyi woli“. Odpowiednio do buddyzmu okazuje częściej tęsknotę za śmiercią.

Z tego wszystkiego wynika, że Budda Baireuthowski był człowiekiem nie normalnym. Inna kwestya, czy był geniuszem. Za tem, że był niepospolitym talentem, ale nie geniuszem, przemawia fakt, że cała jego sztuka powstała z teoryi, w której poznać mozolną pracę przy biurku i lampie. Wszędzie się przebija niby profesor niemiecki. Refleksye jego są więcej uczone, wymuszone, aniżeli naturalne. I nad tem się trzeba zastanowić: Czy system sztuki Wagnera nie jest objawem jego egoizmu? Czy teorya sztuk zjednoczonych nie jest realizacją jego własnego talentu? Granice takiego talentu oznaczają i granice takiej sztuki. Wagner miał zdolności muzyczne i poetyczne, ale ani w jednym, ani w drugim kierunku talent jego nie wystarczał do stworzenia czegoś nadzwyczajnego. Nie umiając się zdobyć ani na tragedye, ani na operę, układał dramata muzyczne, myśląc, że dwa talenta wzięte razem stanowią geniusz.

Ale — z drugiej strony — czy może nie-geniusz wywierać taki olbrzymi wpływ na całe pole swej działalności? Ileż kom-

¹⁾ Bülow, który Wagnera uważa za spadkobiercę Beethovena, sądzi, że muzyka wymienionego dzieła jest patologiczną. Billroth, którego zdanie in rebus musicis pewne i ostre jak nóż operacyjny w jego ręku, opowiada, że słyszawszy ten utwór raz w Monachium przysięgł, że już nigdy tego dramatu nie usłyszy. Dotrzymał słowa. Jego zdaniem z „Tristan i Isolde“ wzięty początek opery sztyletowe Młodo-Włochów.

pozytorów dzisiejszych potrafiło uwolnić się z pod jego wpływu? Z wielkich mistrzów idących za Wagnerelem trzeba wymienić Liszta i Brucknera. Skończoną karykaturę Wagnera stanowi Ryszard Strauss. Artyści, którym się udało zachować swoją cechę i indywidualność i pozostać nietkniętymi Wagneryanizmem, to A. Rubinstein, a przede wszystkim J. Brahms. Wpływ stylu Wagnerowskiego odbija się na operze francuskiej i włoskiej, której największy mistrz, Verdi, pod wpływem Wagnera przeżył rzeczywistą metamorfozę. Któżby uwierzył, że „Trubadur“ i „Othello“ albo „Falstaff“ są dziełami jednego ducha? Pierwsze opery Verdiego w stylu starowłoskim, „Ernani“, „Rigoletto“, „Traviata“, „Ballo in maschera“ poświęcone melodi, podobnie jak opery Rossini'ego, który o sobie powiedział: „Je ne suis rien qu'un pauvre mélodiste“. „Aida“ już stanowi przejście do stylu opery niemieckiej. „Othello“, a jeszcze więcej „Falstaff“ pisany w duchu Wagnera. Ta ostatnia opera przeprowadzona prawie od początku do końca jako deklamacja, przez orkiestrę genialnie kolorowana. Na muzyce Mascagni'ego mniej znać wpływ Baireuthowski, jak na dramatycznym kształtowaniu akcji u owego najmłodszego mistrza włoskiego. Co do opery francuskiej, Gounod i Ambroise Thomas niejedno od Wagnera przejęli, a Massenet w pojedynczych rysach bardzo żywo go przypomina. Najwięcej Wagner wpłynął na wszystkich kompozytorów pod względem orkiestralnym; jego sztuka instrumentacji zawiera w sobie siłę elementarną, uniwersalną i wszyscy się od niego nauczyli nowych efektów. Nawet tak rafinowany kompozytor jak Meyerbeer naśladował niektóre kombinacje orkiestralne Wagnera.

Wagner pozostawił nam wielki znak zapytania i zaciętą walkę. Z gwardyi przybocznej, która mistrza otaczała za życia, wyrosło liczne wojsko (organizowane w licznych stowarzyszeniach imienia Wagnera), którego główne obozy znajdują się w Baireuth i w Monachium. Jak Gluck pobudził ruch Gluckistów i Piccinistów, tak i jego następca wywołał wojnę, która dla sztuki bezwątpienia okaże się korzystną, bo oczyszczającą. Pierwszymi marszałkami w tej wojnie byli Ryszard Pohl po stronie Wagnera i Edward Hanslick (przez Wagneryaninów nazwany krukiem nieszczęsnym) przeciw niemu. Oficjalnego uznania doznał Wagner za życia ze strony króla Ludwika II. bawarskiego i przez trzykrotne przedstawienie swoich „Nibelungen“ w Baireuth (1876) w obecności królów i książąt¹⁾. Obecnie Francuzi i Włosi

1) Przypomina to czasy wiedeńskiego kongresu, gdy Beethoven dyrygował koncert przed koronowanymi słuchaczami.

oddają holdy sztuce zmarłego, podczas gdy w Niemczech po części entuzjazm w niektórych kołach ostygł. Niejedno stowarzyszenie imienia W a g n e r a musi się przyznać, że liczba członków opada, a były nawet czasy, gdzie finansowe trudy i kłopoty w Baireuth gminę wiernych niepokoiły. Zdaje się prawie, że muzyka W a g n e r a była rzeczą mody, ale mody niezdrowej. Można nawet śmiało powiedzieć, że ruch Wagnerowski oznacza na polu sztuki, zwłaszcza muzyki „fin de siècle“. H a n s l i c k sądzi: „Muzyka W a g n e r a zatruwając i podniecając usposobienie słuchacza, tak się zrosła z krwią naszej generacji, że się stało prawie niemożliwym komponować w duchu i w formie starszej opery. Czas późniejszy, nie za daleki, pozna cechę niezdrową, rafinowaną i szkodliwą poezji i muzyki W a g n e r a. Odgadł bez kwestyi usposobienie i potrzeby swego czasu. Ale to usposobienie jest namiętnem, a ta potrzeba wiecznej egzaltacji chorobliwą i szkodliwą. Muzyka M o z a r t a i B e e t h o v e n a była etycznym i estetycznym błogosławieństwem, sztuka W a g n e r a dziełem patologicznem, ubezwładniającem oraz rozpalającym“. Dokąd bezmyślna imitacja stylu W a g n e r a prowadzi, widzimy na dekadencji dramatycznej muzyki w Niemczech w ostatnich dwudziestu latach.

Ciekawa reakcyja nastąpiła we Francyi po pierwszym niemal brutalnem odepchnięciu dzieł Wagnerowskich. Catulle M e n d è s ogłosił w „Revue de Paris“ (zeszyt z kwietnia) prawie przesadną recenzję dramatów muzycznych mistrza niemieckiego i proponuje organizację idealnej gminy Wagnerowskiej. Ten sam autor w książce: „W a g n e r und seine Werke“ (von Henry T. Finck, New-York) podaje nowe szczegóły biograficzne. Że utwory W a g n e r a teraz w Paryżu ogromnem się cieszą powodzeniem, wiadomo powszechnie.

Na uwagę zasługuje zdanie, które wypowiedział D o r n : „W a g n e r jest wprawdzie zjawiskiem w swoim rodzaju jedynem, nietylko dla swoich dzieł, ale i dla niesłychanej reklamy i propagandy, którą dla siebie robił. Utwory jego znajdują może entuzjastycznych zwolenników, ale nie znajdują szczęśliwych naśladowców, nie mogą stworzyć szkoły, bo są zbudowane na tle nienaturalnem; ¹⁾ a tło nienaturalnem, bo zaniedbuje główny czynnik dramatu muzycznego, mianowicie śpiew“. A wielką ilość zwolenników thimaczy D o r n : „Z początku poszli za mistrzem zaślepieni oryginalnością jego wystąpienia; później się wprawdzie zastanowili, ale nie chcąc przyznać się do swego faux pas, kroczą dalej bezmyślnie“. B ü l o w takich nazwał „eine Pest“.

¹⁾ A. R ö c k e l, dyrygent przy teatrze nadwornym w Dreźnie nawet przestał komponować, gdy poznał ideały W a g n e r a, z którym w osobistej żył przyjaźni.

Typ Wagneryanina, to typ dekadenta, człowieka, żyjącego tylko nerwami, który nie ma innych argumentów dla swoich zdań, jak powagę swego bożka. Są to ludzie, z których ust można słyszeć: Gdyby Wagner był pisał symfonie, możnaby symfoniami Beethovena w piecu palić. Albo: Mozart był dobrym muzykiem, Beethoven geniuszem, Wagner jest synem Boskim. Fryderyk Nietzsche pisze o takich chorobliwych typach Baireuthowskich: „Widzicie tych młodzieńców w teatrze? Siedzą zdrętwalili, bladzi, z zapartym oddechem; to są Wagneryanie; o muzyce nic nie rozumieją. Wagner sam na pytanie pana nie znającego go: „Czyż Pan muzykalny?“ odpowiedział: „Nie, jestem Wagneryaninem“.

Do najcenniejszych publikacyj o Wagnerze trzeba zaliczyć książeczkę Nietzsche'go: „Der Fall Wagner, ein Musikanten-Problem“. Autor był zrazu skrajnym Wagneryaninem; poznawszy jednak truciznę estetyczną, którą przesiąknięte utwory mistrza Baireuthowskiego, odwrócił się od niego i napisał ową słynną analizę sztuki Wagnerowskiej. Wszystkie zdania filozofa o filozoficznym kompozytorze pełne sarkazmu; ciekawe są trafne wyrazy, w których streszcza najwybitniejsze właściwości Wagnera. Orkiestrę jego nazywa „sirocco“, melodyę bez końca polipem w muzyce, Wagnera artystą dekadansu, najlepiej wtajemniczonego przewodnika po labiryncie duszy nowożytniej, który we wszystkim, co modne, najzautalszą przemawia mową; mówi o parze wodnej ideału Wagnerowskiego. To wystarczy, aby pokazać, w jaki sposób traktuje artystę, którego „był w stanie brać na seryo“. Tezą rozprawy (Motto: *ridendo dicere severum*) jest zdanie: „Wagner jest szkodliwy“. Nietzsche jest o tyle złośliwym, aby się zachwycać muzyką Bizeta, która „się nie eszofuje“; jest wdzięcznym operze „Carmen“, którą wtedy słyszał po raz dwudziesty. „Sztuka Wagnera podaje nam przedewszystkiem szkło powiększające; patrzymy się przez nie, wszystko się nam wydaje wielkiem, nawet Wagner sam staje się wielkim“... Z nadzwyczajnym sarkazmem zajmuje się autor Wagnerowskim „problematem zbawienia“. Równie ciekawą charakterystyką stosunku Wagnera do Schopenhauera. „Wagner dążył do emancypacji kobiety, chciał zbawić Brunhildę — Siegfried i Brunhilda; przetłómaczył optymizm na muzykę. Wtem natrąca na Schopenhauera, zawstydzona się; Brunhilda studjuje Schopenhauera i Wagner zbawiony“. Bohaterowi i bohaterki Wagnera są typami fizyologicznymi galeryi chorych. W pismach Wagnera Nietzsche upatruje szkołę przebiegłości, której recepta następująca: „Wszystko złe, czego Wagner nie umie; Wagner by jeszcze wiele potrafił, ale nie chce — dla zasady. Wszystko co Wagner umie, nikt przed

nim nie potrafił, nikt po nim nie potrafi, nie powinien potrafić, Wagner jest boski“. Autor tej złośliwej krytyki potępia teatrocraję Wagnera, wiarę w panowanie teatru nad sztukami, wyłącza szkodliwy wpływ Wagnera na ludzkość, szczególnie na kobiety, wpływ rozbudzający zmysłowość, działający jak alkohol.

Dzieło Nietzschego przedstawia się nam jako opis podróży po krainie Wagnerowskiej mistyki, jako negatywna estetyka. A co przedewszystkiem podwyższa wartość tych sądów, to osobistość autora, który znając potrzeby duszy fin de siècle, poddawał się zmysłowemu urokowi Wagnerianizmu, aż się zaczął obawiać o siebie i — napisał „Der Fall Wagner“. Mówimy, że poznał potrzeby naszego czasu, zaspokojone Wagnerianizmem; i w odnośnem zdaniu koncentruje się krytyka Nietzschego: „Sztuka Wagnera przedstawia nadzwyczaj zwodniczą mieszaninę tych czynników, które naszemu światowi najwięcej potrzebne: te trzy wielkie podniety wycieńczonych: brutalność, sztuczność i niewinność (idiotyzm)“.

Walka wywołana książką Prägera: „Wagner, wie ich ihn kannte“, zawsze się jeszcze toczy i coraz to nowi wojownicy biorą w niej udział. Rzadko polemikę z takim zacięciem prowadzono. Po ukazaniu się tej książki gwardya Wagnerowska z takim dzikiem i podejrzanem niezadowolaniem się na nią rzuciła, że nakładca (Breitkopf i Härtel w Lipsku) dziełko z handlu księgarskiego wycofał. Uczynił to bez szkody materyalnej, ponieważ Lord Dysart, prezes stowarzyszenia imienia Wagnera w Londynie poniósł był koszta druku. Ale odnośna polemika widocznie i dalsze sfery tak zajęła, że drugie wydanie książki znajduje się pod prasą. W tej polemice wziął też udział Cyryl Kistler, kompozytor w Niemczech bardzo znany i napisał rozprawkę pod tytułem: „Richard Wagner und die Wagnerianer“, którą pomimo skromnych rozmiarów do najcenniejszych zjawisk tej gałęzi literatury zaliczyć trzeba. Autor całkiem obiektywnie patrzy jasnym okiem na wzburzone morze namiętności stronnicych i podaje krótką ale zupełną krytykę całej sztuki Wagnera. Przytacza też ciekawy list Wagnera z r. 1870, pisany do pana Champfleury, w którym twórca germańskiego teatru w Baireuth mówi, że zjednoczenie ducha germańskiego i francuskiego i założenie teatru międzynarodowego w Paryżu należy do najgorętszych jego życzeń. Czy to polityka, czy brak konsekwencji? W roku 1871 Wagner napisał wiersz do niemieckiej armii oblegającej Paryż i satyrę na Francuzów p. t. „Kapitulacja“. Powszechnie wychwalają konsekwencyę Wagnera; ale ta konsekwencya dziwną się wydaje wobec polityki Wagnera. Jest albowiem Niemcem, potem

rewolucjonistą, później rojalistą, staje się kosmopolitą, a w Baireuth przemienia się znowu w Niemca.

O rozmiarach walki wzbudzonej wystąpieniem apostoła sztuki germańskiej świadczy ogromna literatura Wagneryanizmu. Wedle N. Österlein „Catalog einer Richard Wagner-Bibliothek“ obejmuje ona przeszło 5560 pism. (!) Wagner był i jest przedmiotem rozległych badań. Nietylko muzycy o nim piszą, ale wszyscy: lekarze, poeci, filozofowie, politycy, tak jak i on o wszystkim pisał i na wszystko pragnął wywierać wpływ, na sztukę, politykę, państwo, rząd, Kościół, kler, wiwisekcyę, na całe życie umysłowe. Wielka ilość monografii o Wagnerze odnosi się nietylko do jego muzyki, ale i do filozofii, estetyki, osobistości, patologii etc.

Oświecano go ze wszystkich stron, a przecież jeszcze ten fenomen nie wyjaśniony.

Juliusz Twardowski.



Przeżyte — Odczute — Wydarzone.

(Ciąg dalszy.)

„O myśli moja twórcza! gdzie tobie iść w drogę?
„Ojczyzna cię zakłęta na zawsze w swe koło...
Ujejski.

O, niedolo!

II.

Spotkać go można było często na ulicach jednego z wielkich miast portowych.

Wysoki, chudy, dostatnio choć nie wytwornie ubrany, z twarzą przedwcześnie postarzałą i dziwnie, jakby szponami drapieżnego jakiegoś bólu zoraną, postawę silną miał jeszcze i rzeźką. W południowej porze godzinami całemi przesiadywał w publicznej czytelni, zaopatrzonej w znaczną ilość dzienników i czasopism we wszystkich prawie językach europejskich. Czytywał je z żywym bardzo zajęciem, w niejednym języku, polskich tylko nie dotykał nigdy, ostentacyjnie prawie odsuwając je od siebie. Wyprowadzić stąd można było wniosek, że Polakiem nie był i w samej rzeczy mniemałam tak do dnia, kiedy spotkawszy w czytelni jedną z rodaczek, półgłosem zamieniłam z nią słów parę po polsku. Wówczas nieznamy, tuż obok mnie siedzący, żywo poruszył się na krześle, spojrzął na nas z niechęcią i mruknawszy przez zęby coś, co bynajmniej nie miało brzmienia pochwały, przesiadł się do drugiego stolika. Myślałam, że oburzyły go tak szeptury nasze, jako zakłócające ciszę miejsca, w którym wszelka rozmowa jest wzbroniona. Ale rodaczka moja, spojrzawszy na nieznanego z pogardliwym nieco uśmiechem ruszyła ramionami. — Niech się pani przypatrzy temu jegomości — rzekła mi do ucha — to zabawna figura i bardzo zabawne rzeczy opowiem pani o nim.

Opowiadanie to wszakże, gdy je we właściwej porze usłyszałam, okazało się smutnem raczej, niż zabawnem...

Wbrew moim przypuszczeniom, Polakiem był ów jego-
mość, którego panem Kalikstem tu nazwę. Polakiem — o tyle,
że polskie nosił nazwisko i przed laty około trzydziestu
z Warszawy tu przybył, ale zresztą nic, nic zupełnie nie do-
wodziło jego polskości. Owszem, dziwnie żarliwą niechęć oka-
zywał ku wszystkiemu, co polskie. Z Rosyanami wyłącznie żył,
polskich towarzystw unikał, urzędowym tylko odzywał się ję-
zykiem, na książkę polską okiem nawet nie rzucił. Gdy zaś
znajdował się w towarzystwie, w którym rozmowa toczyła się
o polskich stosunkach i kwestyi, polską zwanej, to nikt nie
powstawał zajadlej od niego na „polską intrygę“, nikt
nielitościwiej nie wyśmiewał „polskich mrzonek“, nikt
nienawistniej nie miotał złożeń na każdy objaw polskiego
życia, na każde drgnienie narodowego ducha, który dławić,
tłumić, najsrożejmi prześladować karami doradzał. Tortury
inkwizycyi radby był wskrzesić dla wszystkich, którzy nie
mogli zapomnieć przeszłości i zwątpić o przyszłości nie chcieli.

Przy dość wysokim stopniu kultury umysłowej nietylko
zanikła miał w duszy strunę, której napięcie przenosi jednostkę
z tłumu „ludzi luźnych“ w zwartą falangę pracowników, jednym
zwojujących się hasłem, lecz jeszcze nie przejednanym był
wrogiem tego, co kiedyś szanować go zapewne uczono. Lżył
i przeklinał to, z czem wziął rozbrat. Dobrowolny czy przy-
musowy? nie wiedział nikt.

Sami jednak Rosyane dziwili się nieraz zacieklej nie-
nawiści człowieka, który, polskiego będąc pochodzenia, tak do
szczętu wypruć sobie potrafił z piersi to polskie „serce — co
jest nakształt wrzodu“. Ze wzgardliwym nieco pobłażaniem
mówili niektórzy z nich, że uczynił to zapewne dla tem szyb-
szej karyery, dla pozyskania dobrej u władz swoich opinii,
ogół jednak społeczeństwa, w którym żył p. Kalikst, uważał to
za rzecz zupełnie naturalną. Można było wprawdzie zapytać,
dlaczego ten zapamiętały polakożerca nie jest patryotą „ruskim“,
a przynajmniej dlaczego nie jest kosmopolitą, dla którego
wszystkie narodowości zarówno są obojętne, ale pytania po-
dobnego nikt sobie nie zadawał.

Polacy miejscowi nie wiedzieli nic o jego przeszłości.
Głuche tylko chodziły pogłoski, że młodzieńcem będąc nie
dobrej używał w kraju opinii, ale pod jakim mianowicie wzglę-
dem, z jakich powodów, na pewno nie wiedział nikt. Nikt
z nich także nie znał go bliżej. Znano tylko jego dziwactwa,
wiedzano o nim, że nietylko od rodaków, lecz od wszystkiego,
co kraj mu przypomina, niechętnie stroni, że sam widok gazety
polskiej w czytelnii w rozdrażnienie go wprawia, a gdy w tram-

waju, lub na ulicy wypadkiem mowę polską posłyszysz, to aż wzdryga się cały i usta takim obrzydzeniem wykrzywia, jakby nagle napłynęła mu do nich piekąca trucizna gorycz.

W całym mieście znany był z tego. Opowiadano, że młoda, figlarna sklepowa, do której się potroszę p. Kalikst zalecał, chcąc się pozbyć podstarzałego adonisa, postarała się o arkusz jakiegoś polskiego pisma i w nią owinawszy nabyty towar, z najniewinniejszą w świecie miną podała paczkę gościowi. Wziął ją, nie patrząc, bo nie odrywał oczu od uśmiechnionego buziaka figlarki, ale gdy spojrzawszy machinalnie na trzymany w rękę przedmiot, zobaczył, co mu dano, odrzucił paczkę ze wstrętem, piorunującym wzrokiem cisnął na sklepową, wyszedł bez pożegnania i — nie pokazał się tam już więcej.

Takie i tym podobne krążyły o p. Kaliksie anekdotki, wszystkie osnute na tle tej namiętnej nieprzejednanej antypatii, która kazała się domyślać poważnej może tragicznej swego istnienia przyczyny, a w każdym razie stanowiła ciekawą zagadkę psychologiczną Dwa lata temu, kraj cały przygotowywał się do złożenia hołdu sędziwemu pocie, który, jak nikt z żyjących dzisiaj, uczynić umiał z pieśni swojej wtór i pobudkę narodowego życia. Wiedziały o projektowanej uroczystości dzienniki rosyjskie i czyniły nad nią swoje uwagi. Umiarkowańsze wyrażały się nieprzychylnie wprawdzie, lecz pomimo to z nakazywaną przez przywoitość powściągliwością słowa. Krańcowe wypowiadały swoje oburzenie, wcale się ze słowami nie licząc, pozwalały sobie przedrwiwać, przekąsów, a były i takie, które w humorystykę się bawiąc, ośmieszały trawestacją wzniosłym tęnącym liryzmem utwory piewcy „Skarga Jeremiego“.

Istna była to naganka, a nikt z żywszem nie przyklaskiwał jej przejściem, jak pan Kalikst. Wszystkie wolne chwile spędzał teraz w czytelnii i ze złośliwym zadowoleniem notował sobie w pamięci, a czasem nawet i w notesie, najjadowitsze pociski tej napaści, będącej hurtownem wyładowaniem urazy, jaką zawsze ma w sercu krzywdziciel dla pokrzywdzonego.

Raz w jednym z pism znalazł p. Kalikst artykuł, do którego posłużył za motto wyjątek z onej przepięknej pieśni pojednawczej, w której grają anielskich chórów dźwięki:

„Z potępionych przez naród dziś niejeden rozpacza,
 „W górę serca i czoła! Polska wszystkim przebacza.
 „Do nas, bracia zbłąkani, do naszego tu łona!
 „Na czas smutku i grzechów niech zapadnie zasłona“ . .

Czterowiersz ten cały wydrukowano w oryginale, czcionkami, których czytelność i wyrazistość zdawała się akcentować znaczenie wyrazów, dodawać im mocy i wagi. Jednym rzutem oka przeczytał go p. Kalikst, a potem przeczytał przekład i szydercze do niego komentarze, ale nie unosił się nad trafnym ich dowcipem, jakby to innym razem był uczynił. Zdaje się nawet, że oko jego machinalnie tylko przesunęło się po nich, bo do świadomości doszły jedynie słowa otuchy i przebaczenia, w ojczywej wypowiedzianej mowie. Powrócił do nich, raz jeszcze przeczytał je z uwagą i długo, długo wpatrywał się w nie — jak w bardzo niegdyś drogie, a oddawna niewidziane oblicza. Wyrzucił je sobie z pamięci, ale one pamiętały o nim i przyszły zakołatać mu do serca i niezapomnianych dźwięków muzyką wtargnąwszy mu do mózgu, zbudziły tam cały szereg myśli i wrażeń, przez długi czas jak ciepłik w lodzie utajonych, a wyzwalających się teraz z niczem niepowstrzymaną mocą. Ogarniały go one, owładały nim, zabierały go sobie, jak własność nigdy i niczem nie przedawnioną, zamarte wskrzeszały w nim czucia, ach! i przeszłość stawiały mu przed oczy jak żywą...

Przeszłość? „Z potępionych przez naród dziś niejeden rozpacza“. Przeszłość!

Wstecz cofniętą myślą przeżywał ją całą napowrót, każda nieledwie jej chwila wyraźnym, barwnym obrazem kreśliła mu się w pamięci. Widział w nich siebie młodzieńcem, zaledwie stojącym na progu męskiego wieku. Wychowania-ż to jego, czy młodości winą było, że siły przekonani, wierności zasadom, hartu woli nie miał wcale? Popędy tylko miał i porywy i bierną wrażenia chwili uległość i zwierciadlaną iście łatwość odbijania w sobie wszystkiego, co z falą życia napływało: kryształów, jak i mętów zarówno.

W domu rodzinnym, niestety! mętów więcej było niż kryształów. Zapoznał się jednak i zaprzyjaźnił z dalekim krewnym i za jego idąc namową przybył do Warszawy, gdzie z właściwym sobie słomianym ogniem zapału rzucił się do udziału we wszystkim, co się tam działo przed trzydziestu właśnie laty. Przywódca, mistrzem, mentorem, był mu przyjaciel ów, Edward, którego otaczała sercem mu oddana, ślepo! mu wierząca garstka wybranej, jak ziarno do siewu, młodzieży.

Starszy od młodzieńczej gromadki o jakie lat dziesięć, z piersią namiętnie rozkołysaną technieniem wielkich idei i wzniosłych pragnień, z płonącym ofiarnie sercem a głową, pełną tych górnych marzeń, które — gdy marzycielowi ziścić się je

uda — mianem bohaterskich czynów chrześci historyja, Edward był duszą ruchu, porywającego w zawrotnym pędzie swoim wszystko, co ku „niedzieli wieków“ młode i czyste wyciągało dłonie. W ręku jego skupiały się nici kierownicze najważniejszych spraw, o wszystkim wiedział, o niejednym sam stanowił, ważną był i poważaną osobistością.

Trapiono go oddawna, osaczano, jak zwierza w kniei, wymykał się, ukrywał, lecz na chwilę nie przestawał być czynnym i zapominając o własnem bezpieczeństwie, zjawiał się zawsze tam, gdzie wymagała tego potrzeba sprawy.

O miejscu schronienia jego wiedział jeden tylko Kalikst, najulubieńszy mu, najmilszy, najzaufańszy, zapewne na mocy tego prawa, które wpatrzonym w gwiazdy, nie pozwala dojrzeć leżące u nóg ich, grudy błota.

Jak gdyby ją dziś widział, pamięta p. Kalikst ciemną tę sien na Starem Mieście i w głębi jej stromo wznoszące się schody i alkierzyk szewskiej izdebki na poddaszu. Pamięta umówiony sposób pukania i kryjówkę, w której w razie nieobecności Edwarda, znajdował się klucz od mieszkanka. Często bywał tam, często . . . zawsze do Edwarda wstęp miał wolny . . . I dlatego to jemu, nie komu innemu, oddano dla wręczenia Edwardowi na potrzeby sprawy dość znaczną kwotę pieniędzy, ofiarny grosz wdowi, krwawicę narodu na ołtarz Ojczyzny złożoną . . .

Ach! z jak nieubłaganą wiernością przedstawia mu pamięć nieszczęsny ten wieczór, kiedy krwawicę ową marnie stracił, roztrwonił, zaprzepaścił . . . Stracił ją co do grosza, a i swego też sporo . . . Karty — gra z początku za pieniądze, a potem na słowo — bezduszna, hańbiąca hulanka w gronie wczoraj jeszcze nieznanomych przyjaciół i przyjaciółek, których się jutro już znać nie będzie . . . chwila szału bezpamiętnego, a potem sromotą okryte czoło i rozpacz głucha i męka niewysłowiona wstydu . . . Co począć? Edwarda niema w mieście, ale gdy za kilka dni powróci, zażąda zwrotu pieniędzy, o których wie, że się w ręku Kaliksta znajdują . . . Skąd je wziąć? A dług? czem go zapłacić? . . .

Z natłoku obrazów przeszłości występuje teraz postać, od dziecka znana . . . „Wujaszek“! Podżyły i przeżyty hulaka, bezcelny cynik, mistrz paradoksu i tłustych dwuznaczników, szyderstwem i podejrzeniami na wszystko i wszystkich plwać zdolny. Całą siłą swego spodlenia nienawidząc wszystkiego, co znaczne, gadzinowym jadem sarkazmów brudził najszlachetniejsze dążenia młodzieży, z kuglarską zręcznością najświęszymi dla niej igrał hasłami, z biegłością sofisty wywracał je na nice

i błaził... Ach! jak on „tych smarkaczy“ nie cierpiał! jak syczała w nim zawiść martwoty i zgnilizny moralnej przeciw świeżym, czystym, wszechmocnym powiewom życia! z jak okrutnym zadowoleniem całą wagą skamieniałych w sobkostwie lat swoich zwiślał, im niby kulą u nogi, skrzydlatym, lotu cheiwym, duchom młodzieńczym!.. Edwarda nie cierpiał więcej od innych — może za wzgardliwą wyniosłość, z jaką ten zwykł go traktować, może za to niecierpliwe, ogniste parcie naprzód, urągające wystygłości jego i niemocy. — To waryat! niebezpieczny waryat! — mawiał o nim — kto kraj od niego uwolni, zasłuży na oznakę honorową. — Wujaszku! — protestował p. Kalikst. — Nieinaczej. Sobie i jemu wyrządziłoby się przysługę. Jeżeliś jego przyjaciel, pójdź i wydaj go w ręce władzy. Szukają go? A niechże go raz wezmą! Posiedzi pod kluczem, ochłonie i drugich gubić przestanie. No! i to przecież liczyć trzeba, że ktoś na tem grosza nieco zarobi... Powiadam ci, pójdź i wydaj go! — Wujaszku! — obruszał się na taką radę p. Kalikst. — Zapłać! — najbardziej zwyciężkim w swym mniemaniu argumentem odrzucał mu na to wujaszek, szatańskim chichotem chłodząc oburzenie młodzieniaszka. — Wujaszku! — Mój kochany, po co ty masz być rozumniejszy od drugich? Nie głupi byli ci, którzy wyznawali zasadę, że cel uswięca środki, a i ów się znał na rzeczy, co to nie wahał pieniędzy. Byle były, to grunt! Byle były! Święte, drogie, przesliczne, ukochane pieniądze!

Ach! ile to podobnych rozmów padało na serce młodzieńca, jak śnieć na ziarno pszeniczne i wżerało się w nie nieznacznie niby, a tak przecie do rdzenia, że w owej straszliwej chwili zgryzoty, trwogi i wstydu, echo ich odezwało się w pamięci. Słabe zrazu i nikłe, wzmogło się, gdy budzić je poczęła pokusa... „Byle były! byle były!“ świdrowało w mózgu młodzieńca, dzwoniło mu w uszach, krzyczało do niego natarczywem wołaniem nieuspokojonych obaw, a i żądź nie nasyconych jeszcze dyszącym, upartym głosem: „Byle były!“ A być mogły! Nagroda za wydanie Edwarda pokryje dług zaciągnięty.. A tamta — krwawica owa? O! nie przepadnie! Zwróci ją Kalikst z czasem... Edward? Cóż? I tak ujsćby nie zdołał przed pościgiem... Prędzej lub później niechybnie w ręce im wpadnie... Z nim razem wpadłyby i pieniądze, a tak — ocaleją. No! komuś... kiedyś... zawsze oddać je trzeba będzie, ale tymczasem... tymczasem... „Byle były!“ — coraz niesforniej dopominało się echo — „byle były!“ O!

I staje w pamięci Kaliksta pół-ciemna, brudna, biurowa jakaś izba, gdzie przy zamkniętych drzwiach, szeptem, toczy

się na cztery oczy rozmowa z kimś, co na sobie ma mundur, a na ustach nieukrywanej wzdrygi grymas. W oczach zato mundurowego tryumf błyska i szepeczą z Kalikstem długo, ostrożnie, coraz ciszej, choć nikogo prócz nich niema w pokoju. Ach! ta rozmowa! Każde jej słowo ćwiekiem tkwi w pamięci Kaliksta, wstydem mu czoło w dół kłoni... „W górę serca i czoła! Polska wszystkim przebacza...“ A on tak nisko pochylone miał czoło — aż w samo hańby błoto... tak bardzo przebaczenia potrzebował!

Słowa łask pełnej obietnicy nie były jeszcze wymówionymi, gdy w parę dni po owej szeptanej rozmowie, szedł w towarzystwie zbrojnej straży, sam pod strażą jak więzień trzymany, po stromych schodach, wiodących na poddasze Edwarda. Klucza nie było w kryjówce, zapukał więc umówionym sposobem. We drzwiach stanął sam Edward. Sam otworzył! sam! Mógł przecie nie otworzyć, mógł nie kazać otwierać drzwi szewcowi, który wytrzeszczonemi przerażeniem oczyma spoglądał na cisnących się do izdebki żołdaków. „Kalikście, ty? — z rozpaczliwym zdziwieniem rzucił mu Edward, ujrzawszy towarzyszy młodzieńca — ty? I nie rzekł już więcej ani słowa. Otoczyli go, ujęli, przetrzaśli wszystkie kąty ubogiego mieszkania. Tego, co tam znaleźli, dość było, aby chór cały ust męskich ogłuszył Kaliksta okrzykiem „Zdrajca!“, aby łyzy i błyskawice gniewu, z ocz kobiecych padające, oslepiły go tumanem ulewy i ognia, aby aż po samą gardziel zapchać paszczę tego smoka, który okopami cytadeli przycejajony nad Wisłą, łapczywie pożera wiecznie odradzające się na nowo, wiecznem życiem tętniące serce narodu.

Pieniądze były jednak, dług spłacić mógł Kalikst co do grosza. Strwoniona krwawica? no! ta, ma się rozumieć, musiała czekać... lepszych czasów. A stary cynik winszował sobie i tym, którzy konceptów jego słuchać chcieli, że na świecie mniej jednego waryata, a więcej jednego szczęśliwca.

— Szczęśliwca? Jakiego? — No! tego przecie, co pieniądze wziął do ręki!

Gdy wspomniał kto, że Edwarda i tylu innych Sybir czeka, że tyle dzielnej, dobrej siły utraci chyląca się już do upadku sprawa: „Sprawa upaśby i tak musiała — odpierał. Im prędzej się to stanie, tem lepiej... Mniej strat — prosty rozsadek to wskazuje. Sybir? Bagatela! I stamtąd wracają ludzie. Człowiek nie grzyb, żeby nie można było ruszyć go z miejsca. Dać mu tylko papu i potutu do woli, a wszędzie się przyjmie. No! i resztę... o! resztę koniecznie do-

dać trzeba“. I śmiejąc się urągliwie, zerkał na Kaliksta, któremu płomienie i po zimy na przemiany oblewały czoło.

W Warszawie niepodobna mu było zostawać dłużej. Wieść o niecnym postępku rozniosła się niepojętym sposobem i każdej chwili obawiać się mógł kompromitacyi lub kary, wymierzonej przez tych, których zadaniem było wówczas wymierzać sprawiedliwość. Pojechał więc na wieś do krewnych, w odległym, głuchym zakątku mieszkających. O istnieniu Edwarda nie słyszano tam nigdy, a czyste, prawe serca nie przypuszczały nawet, aby w brudnej izbie kancelaryjnej wieść można szeptem Judaszowe rozmowy.

Lecz znajdowały się tam kuzyneczki, młode i puste dziewczątka, którym nie obcą przecie była żadna z tradycyi przeszłości. Te — dogadywały mu „kądzielą“, dziwiły się młodości „Wojskiego“, żartowały z niego, więcej wesoło niż złośliwie, ale on jątrzącą miał w sercu ranę, każde dotknięcie które do szaleństwa go drażniło.

Jedna z kuzynek najrzadziej się odzywała. Cichutkie było dziewczątko i nieśmiałe, lecz za jej to głównie sprawą postanowił wreszcie Kalikst przyłączyć się do przebywającej w okolicy partii. „Polska wszystkim przebacza“. Nie znał jeszcze tych słów podówczas, czuł jednak, że tam najłatwiej mu przyjdzie uzyskać przebaczenie — choćby wtedy, gdy ze śmiertelną raną w piersi przypadnie do łona macierzy . . .

Wiedziano już o nim w partii i nie przyjął go młody naczelnik. „Nie potrzeba nam zdrajców! — wzgardliwie rzucił Kalikstowi — wszyscyśmy na śmierć gotowi, aleśmy zaszczytnej śmierci godni. Tobie szubienica się należy, idź sobie jej szukać“. — „Powiesić go!“ — krzyknęło namiętnie kilka głosów. — „Nie!“ — odparł naczelnik, któremu bił z czoła smętny majestat młodości, na przedwczesną śmierć skazanej — „przyszliśmy tu umierać, nie na śmierć skazywać. Idź stąd . . . nie nasz jesteś i obok nas stawać nie wart . . .“

Z obozu nie wrócił już Kalikst do krewnych. Tułał się czas jakiś po kraju, to tu, to tam przesiadując, a Judaszowa sława wszędzie jak cień szła za nim i cieniem tym odgradzała go od wszystkiego, co polską stało cnotą i wiarą, a co on swoim dotąd mienił.

Inne zato drogi stały się przed nim otworem i jedną z takich zaproponowano mu właśnie. Wszedł na nią tem skwapliwiej, że zmuszał go do tego niedostatek i potrzeba zajęcia określonego w świecie stanowiska, a otwierająca się przed nim droga względnie uczciwą zwać się mogła. Chleb, ręką cie-

mieźców, jak jednemu ze swoich podany, zapłata był rzetelnej i nie lekkiej nawet pracy, przyjął go więc Kalikst bez namysłu, a gdy wyjeżdżał z kraju, to serce miał pełne uczucia hardej goryczy i gniewnego buntu przeciwko tym, co odtrącali go, odpychali, aż wepchnęli w szeregi, z których powrót niepodobieństwem był bezprzykładnem. Nie ostatnie zajmował tam miejsce, ale im szedł wyżej, im dalej odchodził przez to od swoich, tem gwałtowniej burzyła mu się w sercu nie przetrawiona nigdy gorycz. Odszedł i nie powróci już więcej, lecz oni — oni zostali! Chciałby był zapomnieć o nich — nie mógł... usłyszeć, że raz przecie istnieć przestali — żyli! dowiedzieć się, że ich już zgnieciono do szczytu — a oni podnosili głowy, krzycząc: „Trwamy!“ i ze skutych dłoni nie wypuszczali sztandaru, pod który zbiegali się sił ostatkiem. „Jesteśmy! żyjemy!“ krzyczało do niego wszystko: nowa książka w oknie księgarni ujrzana — tłum, z Polaków przeważnie złożony, zalegający podwórze jedyne w mieście kościółka — szczebiocące po polsku usteczka dzieci, które na ulicach spotykał. „Jesteśmy! żyjemy!“ krzyczały wspomnienia jego własne, choć zwałił na nie ciężar lat tyłu, choć truł je, zgorzkniałym w nienawiść, bólem i wstydu palącą cierpkością.

Jakie wycierpiał katusze, zanim jadem nienawiści przepojony, bryzgać nią począł na wszystko, co polskie, o tem nikt prócz niego nie wiedział. Z cierpieniem swem krył się przed wszystkimi, krył się nawet przed samym sobą, do świadomości własnej uparcie dopuścić go nie chcąc...

Przechodził teraz myślą wszystkie fazy tego procesu psychicznego, który się w nim przez długie lata odbywał i zakończył — maniakiem go prawie czyniąc. Doskonale zdawał sobie sprawę z pobudek, wpływów i wyniku... Zmienawidził, bo czując się winnym, czuł się jednym z „potępionych przez naród“, a nadziei przebaczenia nie miał.

Ale dzisiaj? O! dzisiaj, zupełnie co innego! Ta, której on zabrał jednego z najmilszych jej synów, której imieniem odepchnęli go inni, ustami zasłużonego, ustami, które wyrokują i proroczą, „wszystkim przebacza“. Wszystkim! A więc i jemu... jemu także?... O miłosierna, o potężna, o nieśmiertelna!

Od tej chwili innym się stał człowiekiem. W sercu mu trysnęło cudowne źródło nadziei, a z nią razem miłość wracała i wiara i ofiarnego czynu chęć pocziwa i powoli, kropla po kropli, wsączczała się żywiąca ta woda pod zaschłe na niezagojonych ranach skorupy i stare opadały z niego trądy, zardawnione wychodziły mu z duszy bóle, serce rozizewnioną

miętko skruchą. „Polska wszystkim przebacza“ . . . obietnicą rozgrzeszenia wracało mu na myśl nieustannie.

Zamożnym był. Bezimiennie posyłać zaczął do kraju znaczne ofiary na instytucje, mające na celu pożytek ogółu, nabywać zaczął książki, podtrzymywać użyteczne wydawnictwa, nędzy miejscowych rodaków potajemnie w pomoc jał przychodzić. Wkupywał się napowrót między swoich, z którymi od tak dawna był zerwał, dawał im znać o sobie, że jest, że sercem przy nich stoi, na zawołanie odzew daje po staremu.

Rok cały mu ubiegł w powolnej, lecz nieprzerwanej pracy powrotu ku temu, od czego tak był odszedł daleko. Zmiana mało na zewnątrz widoczna, przez niewielu dostrzeżona, stała się jednak zupełną: przeinaczył się do dna duszy, do najtajniejszych skrytek sumienia . . .

Tymczasem w mieście, w którym przebywał, zaniósł się na burzę, złośliwym wywołaną zakłębieniem. Wszystko, co było polskiem i — mimo że polskie — spokojnie dotąd bytowało, stało się nagle podejrzanem, obwinionem o niebezpieczną działalność, dla przzerwania dalszych knozań pozbawionem wolności i pracy. W domy niezamożnych ludzi pracy, skazanych na przymusowe bezrobocie, zaglądać począł niedostatek. Bogatsi i uczynniejsi przychodzili z braterską pomocą, której rozdziału podjęła się jedna z pań. Znajac wszystkich, wiedziała i kto daje i komu ile dać powinna, wiedziała też, jak ostrożną być jej trzeba.

Pewnego dnia stanął przed nią p. Kalikst. Znała go z widzenia, z nazwiska, lecz znała także i z opinii. To też zdziwiła się i trochę nawet zaniepokoiła, gdy z ust jego usłyszała oznajmienie, że pragnie przyłożyć się do składki . . .

— Panie — przerwała zmieszana — składki . . . wiadomemu panu . . . wzbronione. Nie zbieram żadnej . . . dla nikogo . . .

— Więc pani odrzuca moją ofiarę? odmawia mi pani prawa przyjscia z pomocą rodakom?

— Ależ pan jesteś . . . Pan nie jesteś . . . — jąkała się kobieta i delikatnym, lecz stanowczym ruchem ręki odsuwała podawany sobie zwitek asygnat.

Zrozumiał, o co jej chodzi. Zachwiał się, jakby z tej drobnej ręki kobiecej policzek otrzymał ogłuszający, twarz mu krwią napłynęła, a potem zbladła śmiertelnie, zacisnął usta i sztywnym, automatycznym krokiem lunatyka wyszedł z pokoju.

Jak długo błądził po ulicach, zanim doszedł do swego mieszkania, nie wiedział sam. Ale gdy stanął w niem wreszcie,

runął na łóżko jak długi i zaniósłszy się płaczem ogromnym, w którego łkaniach czuć było rwanie się serca w kawały, powtarzał z rozdzierającym bólem:

— Nie wszystkim przebacza... nie wszystkim! „Pan jesteś... pan nie jesteś...” powiedziała. Nie wszystkim!

I w ciszy pustego mieszkania jękiem beznadziejnej rozpaczycy długo rozlegała się skarga: „Nie wszystkim!”

— — — — —

O niedolo nasza, co nawet „zbląkanych braci“ serca spóźnionej skruchy prujesz lemieszem i rzucasz w nie spóźnionej miłości pokutną siebie, o niedolo!



KRONIKA NAUKOWA.

Ekspedycja naukowa do Azji centralnej. Kosztem duńskiego ministerstwa oświaty i funduszu Carlsberga, duński porucznik O. Olufsen przygotowuje ekspedycję naukową w głąb Azji centralnej. Olufsenowi towarzyszyć będą porucznik O. Philipssen i kandydat nauk przyrodniczych J. Nielsen. Podróźni mają zamiar wyruszyć w drogę w marcu roku przyszłego i dostać się do Kafiristan, kraju górzystego, położonego w najwięcej na północny wschód wysuniętej części Afganistanu. Droga, którą sobie wytknęli, prowadzi kolejną przez Rosyą i Kaukaz do Baku, potem przez morze Kaspijskie, a kolejną transsyberyjską przez Merw i Bucharę do Samarkandu. W Samarkandzie zaopatrzą się w zapasy żywności, przewodników i tłumaczy, i konno ruszą wzdłuż gór Serafszańskich przez Korategin, Darwas, Roszan, Shugnan, Garan i Badakszan w Pamirze, a nakoniec przez Hindukusz do Kafiristanu. Dotąd o tym kraju szczupłe tylko nauka posiada wiadomości. Jestto kraj górzysty, wznoszący się miejscami do wysokości 3—4000 metrów; mieszkańcy zaludniający doliny, oddają się rolnictwu. Należą oni do szczepu indoeuropejskiego i są monoteistami. Ponieważ nie wyznają Islamu, nazwani zostali przez Mohamedanów Kafirami (t. j. niewierni). Żyją w zupełnej wolności i niepodległości, a rzadko tylko który z nich opuszcza ziemię ojczystą, by się przenieść do Indyi. Tym emigrantom zawdzięczamy wszystko co wiemy o tym kraju, nietkniętym jeszcze stopami Europejczyków. Celem ekspedycji, wyposażonej w najlepsze przyrządy naukowe, jest zbadanie dokładne kraju i jego mieszkańców, przeprowadzenia pomiarów barometrycznych, hipsometrycznych i magnetycznych. Oczywiście będzie też zwrócona uwaga na faunę i florę kraju.



Odpowiedzialny redaktor **Dr. Witold Lewicki**. — Czcionkami Mechitarzystów we Wiedniu. Prenumeratę i artykuły upraszam posyłać p. d moim adresem Wiedeń, VIII., Bennaplatz 5.